

JEROZOLIMA

I

Jerozolima

MILCZĄCE MIASTO smażyło się w palącym słońcu, gnijąc tak samo, jak tysiące ciał leżących tam, gdzie padły podczas walk ulicznych. Przygnębiający gorący wiatr wiał od południowego wschodu, niosąc z sobą smród zgnilizny i rozkładu. A poza murami miasta sama śmierć w osobie Tytusa, syna Wespazjana, czekała wraz z sześćdziesięcioma tysiącami legionistów, którym spieszno było spustoszyć miasto Boga.

Zanim jeszcze Rzymianie przebyli Dolinę Cierni i rozbili obozy na Górze Oliwnej, bojówki, które wkroczyły w obręb murów jerozolimskich, poczyniły przygotowania do dzieła zniszczenia.

Żydowski rabusie, którzy uciekli teraz jak szczury przed rzymskimi legionistami, runęli niedawno na Jerozolimę i wtargnąwszy do świątyni, wymordowali co znaczniejszych obywateli. Rzucając losy o kapłanów, obrócili dom modlitwy w plac targowy tyranii.

Zaraz po rabusiach napłynęli powstańcy i zeloci. Pod kierunkiem rywalizujących między sobą przywódców – Jana, Szymona i Eleazara – bojówki szalały w murach miasta. Upojeni władzą i nadęci pychą cięli Jerozolimę na krwawe plastry.

Łamiąc szabat i prawa Boga, Eleazar rzucił się do szturmowania twierdzy Antonię i wymordował broniących się w niej rzymskich żołnierzy. Zeloci miotali się jak opętani, mordując następne tysiące tych, którzy próbowali przywrócić porządek w osza-

łałym mieście. Ustanowiono bezprawne trybunały i drwiono z prawa ludzkiego i Boskiego, zabijając setki niewinnych mężczyzn i kobiet. W tym chaosie spalono spichrze wypełnione zbożem. Wkrótce pojawił się głód.

Sprawiedliwi Żydzi modlili się żarliwie i z rozpaczą w sercu, by Rzym znów wystąpił przeciwko wielkiemu miastu. Wierzyli bowiem, że wtedy, dopiero wtedy wszystkie przebywające w Jerozolimie bojówki zjednoczą się w jednej sprawie: w walce z Rzymem o wolność.

I Rzym przybył z niesionymi wysoko znienawidzonymi insygniami i wojennym okrzykiem, który poniósł się przez całą Judeę. Wzięli Gadarę, Jotopatę, Beer-Szebę, Jerycho, Cezareę. Potężne legiony maszerowały śladami pobożnych pielgrzymów, którzy ze wszystkich zakątków świata, gdzie osiedlili się Żydzi, zdążali tu, by uczcić i obchodzić uroczyste święty Dzień Niekwaszonego Chleba, Paschę. Dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi napłynęły do miasta i znalazły się w samym środku wojny domowej. Zeloci zamknęli bramy, więc przybysze znaleźli się w pułapce. Kiedy zjawił się Rzym, loskot zniszczenia niósł się już przez Dolinę Cedronu, odbijając się echem o mury Jerozolimy. Tytus przystąpił do oblężenia starego świętego miasta, zdecydowany raz na zawsze skończyć z żydowskim buntem.

Józef, żydowski dowódca zdobytej Jotopaty, wzięty przez Rzymian do niewoli, płakał i wykrzykiwał z pierwszego muru zdobytego przez legionistów. Za przyzwoleniem Tytusa błagał swoich ziomków, by się skruszyli, ostrzegając, że Bóg jest przeciw nim, że rychło spełnią się proroctwa zapowiadające zniszczenie. Nieliczni, którzy posłuchali go i zdołali uciec z elitami, wpadali w ręce chciwych Syryjczyków – a ci rąbali ich na kawałki, poszukując złotych monet, mniemali bowiem, że nieszczęśnicy połknęli je przed ucieczką. Ci, którzy nie dbali o Józefa, narażali się na całą wściekłość rzymskiej maszyny wojennej. Tytus polecił ściąć wszystkie drzewa na przestrzeni wielu mil i zbudować urządzenia oblężnicze, z których wyrzucano ku miastu włócznie, kamienie, a nawet jeńców.

Miasto wiło się w spazmach buntu – od placu targowego w Górnym Mieście po Akrę w Dolnym, wraz z oddzielającą je Doliną Handlarzy Serem.

W wielkiej świątyni Boga przywódca powstańców, Jan, topił dla siebie święte złote naczynia. Sprawiedliwi oplakiwali Jerozalem, oblubienicę królów, matkę proroków, dom pastuszego króla Dawida. Rozdarta na strzępy przez własny naród, leżała wypatroszona i bezsilna, czekając na śmiertelny cios z ręki znienawidzonych pogańskich przybyszów.

Anarchia zburzyła Syjon i oto Rzym stanął w pogotowiu, by niszczyć anarchię... zawsze... wszędzie...

Hadassa trzymała matkę w objęciach i łzy płynęły jej z oczu, kiedy odgarniała czarne włosy z wychudzonej, bladej twarzy swej rodzicielki. Matka była niegdyś piękną kobietą. Hadassa pamiętała, że lubiła patrzeć, jak matka szczytywała włosy w dół, aż spływały lśniąco falami na jej kark. Ojciec nazywał te włosy jej diademem chwały. Teraz były matowe i szorstkie. Rumiane niegdyś policzki pobladły i zapadły się. Brzuch miała wzdęty od marnego pożywienia, a kości nóg i ramion rysowały się wyraźnie pod szarą wierzchnią suknią.

Hadassa uniosła dłoń matki i pocałowała czule. Ta dłoń była jak kościste szpony, wiotkie i zimne. „Mamo?” Żadnej odpowiedzi. Hadassa spojrzała na drugą stronę izby, gdzie jej młodsza siostra, Lea, leżała w kącie na brudnym sienniku. Na szczęście spała i dzięki temu mogła zapomnieć o męce powolnego konania z głodu.

Hadassa znowu pogładziła głowę matki. Cisza okrywała ją niby gorący całun; ból pustego brzucha był prawie nie do wytrzymania. Nie dalej jak wczoraj przelewała pełne goryczy łzy, kiedy matka dziękowała Bogu za posiłek, który Markowi udało się dla nich znaleźć: skórę z tarczy poległego rzymskiego żołnierza.

Jak dawno temu oni wszyscy rozstali się z życiem?

Pogrążona w swym niemym przygnębieniu słyszała jednak, jak ojciec zwraca się do niej swoim pewnym, ale łagodnym głosem:

– Człowiek nie uniknie przeznaczenia, nawet kiedy ma je przed swymi oczami.

Hadassa powtarzała sobie te słowa ledwie parę tygodni temu – choć teraz wydawało się, że minęła wieczność. Ojciec modlił się cały ranek, a ona tak się bała! Wiedziała, co ojciec zrobi, co robił zawsze przedtem. Wyjdzie, by przed niewierzącymi nauczać o Mesjaszu, Jezusie z Nazaretu.

– Dlaczego musisz wychodzić i przemawiać do jakichś ludzi? Ostatnio omal cię nie zabili.

– Do jakichś ludzi, Hadasso? Są naszymi ziomkami. Jestem z pokolenia Beniamina. – Czują nadal na policzku delikatne dotknięcie jego dłoni. – Musimy wykorzystywać każdą sposobność, by głosić prawdę i pokój. A zwłaszcza teraz. Dla wielu tak mało czasu pozostało.

Przywarła do niego.

– Proszę, ojcze, nie odchodź, wiesz przecież, co się stanie. Co zrobimy bez ciebie? Nie potrafisz przynieść pokoju. Tu nie ma miejsca na pokój!

– Nie mówię o pokoju świata, Hadasso, ale o pokoju Bożym. Wiesz przecież. – Przytulił ją mocniej. – Sza, córeczko. Już nie płacz.

Nie mogła go puścić. Wiedziała, że nie zechcą słuchać, nie zechcą tego, co ma im do powiedzenia. Ludzie Szymona zerwą go na strzępy, i to na oczach tłumu, by pokazać, jaki los czeka tych, którzy domagają się pokoju. Inni już tak skończyli.

– Muszę iść. – Jego ręce były stanowcze, ale oczy łagodne, kiedy unosił jej podbródek. – Cokolwiek się zdarzy, Pan zawsze będzie z wami. – Całował ją i tulił, a później odsunął od siebie, by ucisnąć i pocałować pozostałą dwójkę dzieci. – Marku, masz tu zostać z matką i siostrami.

Hadassa uczepliła się matki i potrząsała nią, błagając:

– Nie pozwolisz mu! Nie dzisiaj!

– Cicho, Hadasso. Komu służysz, wykrzykując tak przeciwko swemu ojcu?

Matka skarciła ją łagodnym głosem, ale i tak zabolalo. Wiele razy powtarzała przedtem, że kto nie służy Panu, służy, choćby

nieświadomie, złu. Wstrzymując łzy, Hadassa posłuchała matki i nie odezwała się już ani słowem.

Rebeka położyła dłoń na okolonej siwą brodą twarzą swojego męża. Wiedziała, że Hadassa ma rację; może nie wrócić, i zapewne nie wróci. Ale przecież taka jest wola Boga, jego ofiara może uratować czyjąś duszę. A dość uratować jedną jedyną duszę. Oczy miała pełne łez i nie mogła – nie śmiała – nic powiedzieć. Bała się, że gdyby otworzyła usta, dołączyłaby do Hadassy, błagając go, by nie wychodził z ich małego domku. Lecz Chananiasz lepiej niż ona wiedział, czego Pan dla niego chce. Położył dłoń na jej dłoni i Rebeka spróbowała przełknąć łzy.

– Pamiętaj, Rebeko, o Panu – powiedział uroczystym tonem.
– Jesteśmy w Nim razem, ty i ja.

Nie wrócił.

Hadassa pochyliła się opiekuńczo nad matką, przestraszona, że ją także mogłaby utracić. „Matko?” Nadal żadnej odpowiedzi. Oddychała płytko, twarz miała popielatą. Czemu Marek nie wraca? Wyszedł o świcie. Z pewnością Pan nie zechce zabrać jego także...

Hadassa poczuła, jak w ciszy małej izby narasta w niej strach. Z roztargnieniem głaskała matkę po głowie. Proszę, Boże mój. Proszę! Słowa nie przechodziły jej przez gardło, w każdym razie żadne słowa, które by coś znaczyły. Tylko jęk z samej głębi duszy. Proszę, o co? Oby pomarli z głodu, nim przyjdą uzbrojeni w miecze Rzymianie, by nie cierpieli męki konania na krzyżu? O Boże, mój Boże! Jej błaganie płynęło odarte ze słów i rozpaczliwe, bez nadziei i pełne lęku. Pomóż nam!

Po co przybyli do tego miasta? Nienawidziła Jerozolimy.

Zmagą się z trawiącą ją rozpaczą. A była to rozpacz tak ciężka, że Hadassa czuła, jakby jakiś fizyczny ciężar ściągał ją w głąb ciemnej studni. Próbowwała rozmyślać o lepszych czasach, o chwilach szczęśliwszych, ale takie myśli ciągle jej umykały.

Pomyślała o dawno temu przeżytych miesiącach, kiedy wyruszyli z Galilei, nie spodziewając się zgoła, że miasto stanie się dla nich pułapką. W wieczór przed wejściem do Jerozolimy ojciec rozbił obóz na wzgórzu, z którego widzieli górę Moria,

gdzie Abraham prawie złożył ofiarę z Izaaka. Ojciec opowiadał im o czasach, kiedy był chłopcem i mieszkał tuż za miastem, do późnej nocy mówił o prawach Mojżeszowych, według których wzrastał. Mówił o prorokach. Mówił o Jezui, Chrystusie.

Hadassa zasnęła i śniła o tym, jak Pan nakarmił na wzgórzu pięciotysięczną rzeszę.

Przypomniała sobie, że o brzasku ojciec obudził całą swoją rodzinę. I przypomniała sobie, jak słońce wędrowało wyżej i wyżej i światło odbijało się od marmurów i złota świątyni, zmieniając budowlę w latarnię gorejącą splendorem, widoczną z odległości wielu mil. Hadassa nadal czuła całą grozę, jaka przeniknęła ją wtedy na widok tej chwały. „Ojcze, jakie to piękne!”

– Tak – odparł uroczyście. – Lecz jakże często rzeczy wielkiej urody są pełne wielkiego zepsucia.

Pomimo prześladowań i niebezpieczeństw, jakie czekały ich w Jerozolimie, ojciec był rozradowany i przeniknięty oczekiwaniem, kiedy przekraczali bramy miasta. Może tym razem większa liczba ziomków zechce go wysłuchać; może więcej z nich odda serca zmartwychwstałemu Panu.

Nieliczni spośród wierzących w Jezusa pozostali w Jerozolimie. Wielu trafiło do więzienia, paru ukamienowano, jeszcze więcej wypędzono w inne miejsca. Tak wypędzono Łazarza, jego siostrę i Marię Magdalenę; apostoł Jan, bliski przyjaciel rodziny, opuścił Jerozolimę dwa lata wcześniej, zabierając ze sobą Matkę Pana. A jednak ojciec Hadassy pozostał. Raz w roku wracał do Jerozolimy z całą rodziną, by w pokoju na górze spotkać się z innymi wierzącymi. Dzielili się chlebem i winem, tak jak ich Pan, Jezus, czynił to w wieczór przed ukrzyżowaniem. Tego roku Symeon Bar-Adoniasz obwieścił, jakie dania złożą się na ucztę paschalną:

„Jagnię, niezakwaszony chleb i gorzkie zioła paschalne mają dla nas równie wielkie znaczenie, jak dla naszych żydowskich braci i sióstr. Pan napęlnia sobą każdą z tych rzeczy. Jest Barankiem Bożym bez skazy, który, sam bezgrzeszny, wziął na siebie całą gorycz naszych grzechów. Jak Żydom w niewoli egipskiej powiedziano, by przelali krew baranka na progu swoich do-

mostw, gdyż dzięki temu ominie ich Boży gniew i sąd, tak Jezus przelał za nas swą krew, byśmy w Dniu Sądu stanęli bez winy przed Bogiem. Jesteśmy dziećmi Abrahama, albowiem przez naszą wiarę w Pana jesteśmy zbawieni za pośrednictwem Jego łaski...”.

Przez następne trzy dni pościli, modlili się i przepowiadali nauczanie Jezusa. Trzeciego dnia śpiewali i radowali się, raz jeszcze łamiąc się chlebem dla uczczenia Jego zmartwychwstania. I co roku w ostatnich godzinach wspólnego świętowania ojciec Hadassy opowiadał swoją historię. I w tym roku tak było. Większość wiele razy słyszała jego opowieść, ale zawsze byli i tacy, którzy zostali dopiero teraz pozyskani dla wiary. Do tych ludzi przemawiał ojciec.

Stał przed nimi – prosty człowiek o siwych włosach na głowie i brodzie i o ciemnych oczach pełnych światła i pogody. Nie było w nim nic, co przykuwałoby uwagę. Nawet kiedy mówił, nie było w nim nic nadzwyczajnego. Tylko dotknięcie ręki Boga czyniło go innym niż pozostali.

„Mój ojciec był dobrym człowiekiem z pokolenia Beniamina. Miłował Boga i nauczył mnie Prawa Mojżeszowego – zaczął spokojnie, patrząc w oczy siedzącym najbliżej. – Był kupcem, mieszkał nieopodal Jerozolimy i poślubił moją matkę, córkę ubogiego rolnika. Nie byliśmy ni bogaci, ni biedni. Za wszystko, co mieliśmy, ojciec słał Boga, dziękując Mu. Kiedy nadchodził czas Paschy, zamykaliśmy nasz sklepik i wchodziliśmy do miasta. Matka zostawała u przyjaciół i czyniła przygotowania przed ucztą paschalną. My, ojciec i ja, spędzaliśmy czas w świątyni. Słuchanie Słowa Bożego było jak posiłek, a ja marzyłem o tym, żeby zostać uczonym w Piśmie. Nigdy jednak nie miało się to spełnić. I kiedy miałem czternaście lat, ojciec zmarł i musiałem zająć się sklepikiem, bo miałem przecież braci i siostry. Przyszły ciężkie czasy, a ja byłem młody i niedoświadczony. Ale Bóg okazał nam swą dobroć i zaspokajał nasze potrzeby.”

Zamknął oczy.

„Wtedy gorączka wzięła mnie w swe władanie. Zmagałem się ze śmiercią. Słyszałem, jak matka płakała i błagała Boga. Panie, modliłem się, nie pozwól, bym zmarł. Jestem potrzebny

matce. Beze mnie będzie sama i nikt się o nią nie zatroszczy. Proszę, nie zabieraj mnie teraz! Ale śmierć przyszła. Osaczyła mnie jak zimna ciemność i trzymała w swym uścisku.”

W pokoju panowała niemal dotykalna cisza, gdyż słuchacze w napięciu czekali na zakończenie opowieści.

Bez względu na to, ile razy Hadassa słyszała tę opowieść, nigdy nie była nią znużona, słowa ojca zawsze przenikały ją do głębi. Czuła mroczną i samotną siłę, która wzywała go do siebie. Było jej chłodno, obejmowała więc kolana ramionami i przyciągała je do piersi. A ojciec ciągnął opowieść.

„Matka powiedziała, że przyjaciele nieśli mnie drogą w stronę przeznaczonego dla mnie grobowca, kiedy przyszedł Jezus. Pan usłyszał płacz i ulitował się. Gdy zatrzymywał procesję pogrzebową, matka nie wiedziała, kim On jest, ale było z Nim wielu uczniów, a także chorych i kalekich. I potem rozpoznała Go, gdyż dotknął mnie i wstałem.”

Hadassa miała ochotę zerwać się i krzyczeć z radości. Niektórzy z obecnych płakali, a na ich twarzach malowały się zdumienie i przestrah. Inni chcieli dotknąć ojca, położyć rękę na człowieku, który został wyrwany śmierci przez Jezusa Chrystusa. I mieli także mnóstwo pytań. Co czułeś, kiedy wstałeś z martwych? Czy rozmawiałeś z Nim? Co ci rzekł? Jak wyglądał?

W górnym pokoju, w otoczeniu wierzących, Hadassa wiedziała, że nic jej nie grozi. Miała w sobie siłę. W tym miejscu czuła obecność Boga i Jego miłość. „Dotknął mnie i wstałem.” Moc Boga pokona wszystko.

Potem opuszczali pokój na górze i kiedy ojciec prowadził swoją rodzinę w stronę domu, gdzie mieszkali, Hadassa znowu zaczynała odczuwać wszechobecny strach. Zawsze modliła się, by ojciec nie zatrzymywał się, by mówił dalej. Gdy opowiadał swą historię wierzącym, płakali i weselili się. Dla niewierzących był przedmiotem szyderstwa. Uniesienie i poczucie bezpieczeństwa, jakie dzieliła z tymi, którzy wierzyli tak samo jak ona, zniknęły, kiedy patrzyła, jak ojciec staje przed tłumem i znosi obelgi.

– Słuchajcie mnie, mężowie Judy – wykrzykiwał, zwołując ludzi. – Słuchajcie, gdyż mam wam do powiedzenia dobrą nowinę.

Z początku słuchali. Był starym człowiekiem i budził zaciekawienie. Prorocy zawsze stanowili rozrywkę. Nie był tak wymowny, jak przywódcy religijni; przemawiał słowami prostymi, płynącymi prosto z serca. I ludzie niezmiennie śmiali się i szydzili z niego. Niektórzy rzucali zgniłymi jarzynami i owocami, inni wykrzykiwali, że jest szalony. Jeszcze innych gniewała jego opowieść o powstaniu z martwych i wykrzykiwali, że jest kłamcą i bluźniercą.

Przed dwoma laty został tak dotkliwie pobity, że dwaj przyjaciele musieli przyprowadzić go do wynajętego domku, w którym zawsze się zatrzymywali. Elkana i Benajasz starali się go przekonać.

– Chananaszu, nie możesz tu wracać – powiedział Elkana. – Kapłani wiedzą, kim jesteś, i chcą cię uciszyć. Nie są tacy głupi, żeby stawiać cię przed sądem, lecz nie brak złych ludzi, którzy za szekła uczynią wszystko, co się im każe. Strzeplnij kurz jerozolimski ze swoich sandałów i idź tam, gdzie zechcą wysłuchać posłannictwa.

– A dokąd mam iść, jeśli nie tutaj, gdzie nasz Pan umarł i powstał z martwych?

– Wielu z tych, którzy byli świadkami zmartwychwstania, uciekło przed więzieniem i śmiercią z rąk faryzeuszy – odparł Benajasz. – Nawet Łazarz opuścił Judeę.

– Dokąd się udał?

– Mówiono mi, że zabrał swoje siostry i Marię Magdalenę do Galii.

– Ja nie mogę opuścić Judei. Pan chce, bym tu został, cokolwiek ma się stać.

Benajasz milczał przez dłuższą chwilę, a potem skinął z powagą głową.

– Niechaj więc będzie, jak chce Pan.

Zgodził się z tym także Elkana. Położył rękę na dłoni ojca Hadassy i powiedział:

– Zostają tu Szelomit i Cyrus. Pomogą ci, póki będziesz w Jerozolimie. Ja zabieram z miasta moją rodzinę. Benajasz idzie ze mną. Oby oblicze Boga jaśniało nad tobą, Chananaszu. Ty i Rebeka zawsze będziecie w naszych modlitwach. I twoje dzieci też.

Hadassa zaczęła płakać, gdyż runęły jej nadzieje na opuszczenie nieszczęsnego miasta. Jej wiara była wątła. Ojciec zawsze wybaczał swym dręczycielom i napastnikom, ale Hadassa modliła się, by zaznali ognia piekielnego za to, co mu czynili. Często modliła się, by Bóg odmienił swą wolę i posłał ojca w jakieś inne miejsce niż Jerozolima. Do jakiegoś małego i spokojnego miasta, gdzie ludzie chętnie by go słuchali.

– Hadasso, wiemy, że Bóg wszystko czyni dla dobra tych, którzy Go miłują, tych, którzy zostali wezwani, by służyli Jego zamysłom – powtarzała często matka, starając się ją pocieszyć.

– Co dobrego może być w tym, że zostanie się pobitym? Co dobrego, że zostanie się oplutym? Czemu musimy tak cierpieć?

Wśród łagodnych galilejskich wzgórz, mając przed oczyma błękit morza, a za sobą lilie polne, Hadassa uwierzyłaby w miłość Bożą. W domu, wśród tych wzgórz, jej wiara była silna. Dawała ciepło i sprawiała, że serce w niej śpiewało.

Natomiast w Jerozolimie musiała walczyć. Przywierała do swej wiary, ale wiara ciągle się wymykała. Jej towarzyszem było zwątpienie, czuła wszechogarniający strach.

– Ojcze, dlaczego nie możemy wierzyć i milczeć?

– Zostaliśmy powołani, by stać się światłem świata.

– Co roku bardziej nas nienawidzą.

– Nienawiść jest nieprzyjacielem, Hadasso. Nie ludzie.

– To ludzie cię biją, ojcze. Czyż sam Pan nie powiedział, byśmy nie rzucali pereł przed wieprze?

– Hadasso, jeśli mam za Niego umrzeć, umrę z radością. To, co robię, służy dobremu celowi. Prawda nie odchodzi i nie przychodzi daremnie. Musisz mieć wiarę, Hadasso. Pamiętaj o obietnicy. Jesteśmy częścią ciała Chrystusa i w Chrystusie mamy życie wieczne. Nic nie może nas rozdzielić. Żadna ziemska moc. Nawet śmierć.

Tuliła twarz do jego piersi, do szorstkiej sukni, i czuła, jak drapie ją tkanina.

– Ojcze, czemu mogę wierzyć w domu, a tu nie?

– Gdyż nieprzyjaciel wie, jak może cię zranić. – Położył dłoń na jej głowie. – Czy pamiętasz opowieść o Jozafacie? Synowie Moabu, Ammonu i góry Seir wyszli przeciwko niemu z potężną

armią. Duch Pana spoczął na Jachazjelu i Bóg powiedział: „Nie bójcie się i nie lękajcie tego wielkiego mnóstwa, albowiem nie wy będziecie walczyć, lecz Bóg”. Śpiewali i wznosili okrzyki uwielbienia i sam Pan zastawił pułapkę na ich wrogów. A rano, kiedy mieszkańcy Judy doszli do miejsca, skąd widać było pustynię, zobaczyli trupy leżące na ziemi. Nikt nie uszedł z życiem. Mężowie Judy nie podnieśli nawet ramienia w bitwie, a jednak zwyciężyli.

Pocałował ją w głowę i dodał:

– Stój pewnie przy Panu, Hadasso. Stój przy Nim i pozwól, by za ciebie zwyciężał. Nie próbuj walczyć w osamotnieniu.

Hadassa westchnęła, starając się nie zwracać uwagi na pale nie w żołądku. Jakże brakowało jej rady ojca w niemej samotności tego domu. Gdyby umiała uwierzyć we wszystko, czego nauczał, radowałaby się, że jest teraz z Panem. Zamiast tego czuła dojmującą troskę, która nabrzmiewała i ogarniała ją falami, przynosząc z sobą dziwny, niejasny gniew.

Dlaczego ojciec musiał być takim szaleńcem Chrystusowym? Ludzie nie chcieli go słuchać; nie wierzyli mu. Jego świadectwo było dla nich zniewagą. Jego słowa rozbudzały w nich szaleńczą nienawiść. Dlaczego nie mógł choć raz zachować milczenia i pozostać bezpiecznie w małym domku? Żyłby nadal i byłby tutaj, niosąc im pocieszenie i nadzieję, miast zostawiać ich, by sami musieli się o siebie troszczyć. Dlaczego ten jeden jedyny raz nie mógł okazać rozsądku i przeczekać burzy?

Drzwi otworzyły się powoli i serce Hadassy zadrżało ze strachu, przywracając jej poczucie terażniejszości. Rabusie wdzierali się do domów w dole ulicy i mordowali mieszkańców za kromkę zaoszczędzonego chleba. Tym razem był to jednak Marek. Poczwała ulgę i odetchnęła.

– Tak się o ciebie bałam – szepnęła z tklivością. – Nie było cię wiele godzin.

Zamknął za sobą drzwi i opadł wyczerpany obok siostry, opierając się o ścianę.

– Co znalazłeś?

Czekała, żeby dobył swą zdobycz spod koszuli. Jakikolwiek znalezione pożywienie trzeba było ukrywać, bo inaczej w każdej chwili groziło, że ktoś go napadnie.

Marek spojrzął na nią bezradnie.

– Nic. Zupełnie nic. Nawet starego sandała, nawet skóry z tarczy poległego żołnierza. Nic.

Zaczął płakać i Hadassa widziała, jak drżą mu ramiona.

– Sza, obudzisz Leę i mamę. – Hadassa delikatnie położyła głowę matki na pledzie i zwróciła się w stronę brata. Otoczyła go ramieniem i położyła mu głowę na piersi. – Robieś, co w twej mocy, Marku. Wiem, że tak było.

– Może Bóg chce, byśmy pomarli.

– Nie wiem, czy chcę jeszcze znać wolę Boga – wyrwało się z jej ust. W jej oczach pojawiły się zaraz łzy. – Mama mówiła, że Bóg się o nas zatroszczy – dodała, ale słowa robiły wrażenie pustych. Jakże słaba jest jej wiara! Nie taka jak wiara ojca i matki. Nawet Lea, choć taka młoda, kochała Pana z całego serca. Wydawało się też, że i Marek godzi się na śmierć. Dlaczego ona tylko musi zawsze zadawać pytania i powątpiewać?

Zachowaj wiarę. Zachowaj wiarę. Kiedy nie masz nic, zachowaj choć wiarę!

Marek zadrzał i wydobył ją z ponurego zamyślenia.

– Rzucają zwłoki do Wadi El Rabadi, na tyłach świątyni. Ty siące, Hadasso.

Hadassa przypomniała sobie straszliwy widok doliny Hin-nom. Tam było miejsce, gdzie Jerozolima wyrzucała martwe nieczyste zwierzęta i wszelkie brudy pozostałe z nocy. Kosze pełne kopyt, wnętrzności i zwierzęcych resztek ze świątyni cis-kano w głąb doliny. Kłębiły się tam szczury i ptaki żywiące się padliną i często gorący wiatr niósł smród do miasta. Ojciec nazywał tę dolinę Gehenną.

– Niedaleko stamtąd ukrzyżowano naszego Pana.

Marek przesunął dłonią po włosach.

– Bałem się podejść bliżej.

Hadassa zacisnęła powieki, lecz nie mogła odpędzić palącego i natarczywego pytania. Czy jej ojciec został tam rzucony,

czy sprofanowano jego ciało i pozostawiono, bygniło na słońcu? Zagryzła wargi i starała się odepchnąć tę myśl.

– Widziałem Tytusa – powiedział matowym głosem Marek. – Przyjechał konno z paroma ludźmi. Kiedy zobaczył ciała, zaczął coś wykrzykiwać. Nie dosłyszałem słów, ale ludzie mówili, że wzywał Jahwe na świadka, że to nie jego dzieło.

– Czy okazałby łaskę, gdyby miasto się teraz poddało?

– Jeśli by zdołał powstrzymać swoich ludzi. Nienawidzą Żydów i chcą patrzeć, jak umierają.

– A my razem z nimi. – Zadrżała. – Nie będą zważać na różnicę między wierzącymi w Jezusa a zelotami, prawda? Powstańcy czy Żydzi sprawiedliwi, czy nawet chrześcijanie, cóż to dla nich za różnica? – Oczy zaszyły jej łzami. – Czy taka, Marku, jest wola Boga?

– Ojciec mówił, że nie jest wolą Boga, by ktokolwiek cierpiał.

– Czemu więc my musimy cierpieć?

– Spada na nas odpowiedzialność za to, cośmy sami sobie učinili, i cierpimy za grzech, który rządzi światem. Jezus wybaczył łotrowi, ale nie zdjął go z krzyża. – Raz jeszcze przesunęła dłonią po włosach. – Nie mam mądrości ojca. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale wiem, że nie możemy wyzbywać się nadziei.

– Jakiej nadziei, Marku? Jakąż można mieć nadzieję?

– Bóg zawsze zostawia nam skrawek nadziei.

Obleżenie przedłużało się i choć życie w Jerozolimie gasło, żydowski opór trwał. Hadassa pozostawała w domku i tylko wsłuchiwała się w przerażające odgłosy dochodzące zza niezaryglowanych drzwi. Jakiś mężczyzna biegł ulicą, wykrzykując: „Wdarli się na mury!”

Kiedy Marek wyszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje, Lea dostała ataku hysterii. Hadassa podeszła do siostry i przytuliła ją z całej siły. Sama czuła, że odchodzi od zmysłów, ale trzymając w ramionach siostrzyczkę, czuła się odrobinę lepiej.

– Wszystko będzie dobrze, Leo. Cicho. – Słowa brzmiały pusto w jej własnych uszach. – Pan czuwa nad nami – dodała, głaszcząc czule siostrę.

Monotonny szereg kłamstw, które miały nieść pociechę, choć przecież cały świat wokół nich walił się w gruzy. Hadassa spojrzała na matkę leżącą po drugiej stronie izby i poczuła, że łzy znowu napływają jej do oczu. Matka uśmiechnęła się słabo, jakby chciała dodać jej otuchy, ale Hadassa wcale nie poczuła się spokojniejsza. Co się z nimi stanie?

Marek wrócił i powiedział, że w obrębie murów trwają walki. Żydzi uzyskali przewagę i wypierają teraz Rzymian.

Jednak jeszcze tej nocy dziesięciu legionistów, korzystając z osłony ciemności, przeczołgało się wśród ruin miasta i zawładnęło twierdzą Antonia. Walki przeniosły się w stronę wejścia do samej świątyni. Rzymianie zostali wprawdzie znowu odparci, ale zdołali zwalić część fundamentów twierdzy, otwierając sobie drogę na dziedziniec pogan. Próbując odciągnąć wroga od świątyni, zeloci zaatakowali Rzymian na Górze Oliwnej. Ponięśli klęskę i zostali wybici co do nogi. Jeńców ukrzyżowano naprzeciwko murów, żeby wszyscy mogli ich widzieć.

I znowu zapadła cisza. A potem miasto ogarnęło od nowa przerażenie, jeszcze większe i jeszcze bardziej pustoszące serca, rozeszła się bowiem pogłoska, że pewna kobieta zjadła własne dziecko. Płomień nienawiści do Rzymian rozgorzał jak pożar.

Józef raz jeszcze zaczął wykrzykiwać do swych ziomeków, że Bóg posłużył się Rzymianami, by ich zniszczyć, w ten bowiem sposób spełnią się proroctwa Daniela i Jezusa. Żydzi gromadzili wszelkie materiały, jakie mogli znaleźć, smołę ziemną i pak, by naprawić wylomy w murach. Rzymianie rzucili się do przodu, a Żydzi ustąpili, zwabiając Rzymian do świątyni. I wtedy Żydzi podpalili Święte Miejsce, i wielu legionistów padło pastwą płomieni.

Tytus zapanował nad rozwścieżonymi żołnierzami i rozkazał ugasić pożar, ale gdy tylko wykonano jego rozkaz, Żydzi znowu runęli do ataku. Tym razem wszyscy rzymscy dowódcy razem wzięci nie byli w stanie powstrzymać furii legionistów, którzy spragnieni żydowskiej krwi znowu podpalili świątynię i przystąpiwszy do plądrowania zdobytego miasta, zabijali każdego, kogo napotkali na swojej drodze.

Mężczyźni padali setkami, kiedy płomienie pochłaniały babilońską zasłonę haftowaną pięknymi niebieskimi, szkarłatnymi i pałowymi nićmi. Wysoko na dachu świątyni jakiś fałszywy prorok wykrzykiwał, żeby ludzie dołączyli do niego i wyzwolili się. Przez miasto niosło się wycie palących się żywcem ludzi, mieszając się z odgłosami bitwy, która nadal toczyła się na ulicach i w alejach. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy bez wyjątku szli pod miecz.

Hadassa starała się nie dopuścić do siebie myśli o tym, co ich czeka, ale zewsząd wdzierają się do izby odgłosy umierania. Jej matka umarła tego samego gorącego sierpniowego dnia, kiedy padła Jerozolima, i przez dwa dni Hadassa, Marek i Lea czekali, wiedząc, że Rzymianie znajdą ich wcześniej czy później i zabiją jak zabijali każdego, kto się im nawinął.

Ktoś uciekał ich wąską uliczką. Inni krzyczeli, kiedy zarzynano ich bez litości. Hadassa chciała zerwać się i uciekać, ale dokąd miałyby biec? I co z siostrą i bratem? Wcisnęła się jeszcze głębiej w coraz mroczniejszy cień izdebki i mocniej przytuliła Leę.

Coraz więcej męskich głosów. Coraz głośniejszych. Coraz bliższych. Gdzieś w sąsiedztwie ktoś otworzył szarpnięciem drzwi. Ludzie w środku zaczęli krzyczeć. Uciszano ich głosy jeden po drugim.

Wychudzony, wycieńczony Marek dźwignął się z wysiłkiem na nogi i stanął naprzeciwko drzwi, modląc się bezgłośnie. Serce Hadassy waliło jak młot, pusty żołądek zacisnął się w bolesny węzeł. Usłyszała dochodzące z ulicy męskie głosy. Słowa były greckie, ton pogardliwy. Jakiś mężczyzna wydał rozkaz, by przeszukano następne domy. Wyważono kolejne drzwi. Rozległy się znowu krzyki.

Tupot podkutych ćwiekami butów przybliżył się do ich drzwi. Hadassa czuła, że serce wyskoczy jej zaraz z piersi.

– O Boże!...

– Zamknij oczy, Hadasso – powiedział Marek dziwnie spokojnym głosem. – Pamiętaj o naszym Panu – dodał, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie.

Z ust Marka dobył się chrapliwy urwany dźwięk i chłopak osunął się na kolana. Z jego pleców sterczał koniec zakrwawionego miecza; na szarej sukni utworzyła się czerwona plama. Małą izbę wypełnił piskliwy krzyk Lei.

Rzymski żołnierz pchnął stopą Marka, uwalniając miecz.

Hadassa nie mogła dobyć głosu. Patrząc na mężczyznę, na zbroję okrytą kurzem i splamioną krwią jej brata, nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Widziała błyszczące spod hełmu oczy. Kiedy żołnierz zrobił krok do przodu, unosząc krwawy miecz, Hadassa rzuciła się szybko, nie myśląc o tym, co robi. Pchnęła Leę na podłogę i przykryła ją swoim ciałem. „O Boże, niech to się już stanie – modliła się. – Jak najszybciej”. Lea zamilkła. Słysząc było tylko chrapliwy oddech żołnierza przemieszany z krzykami z zewnątrz.

Tercjusz ścisnął mocniej miecz w dłoni i patrzył na wychudzoną dziewczynę, która zakryła własnym ciałem jeszcze mniejsze dziecko. Powinien zabić je obie i skończyć z tym raz na zawsze! Ci przekłęci Żydzi są nieszczęściem Rzymu. Zjadają własne dzieci! Zabij kobiety, by nie rodziły wojowników. Ten naród zasłużył na zgubę.

Co go powstrzymywało?

Starsza dziewczyna podniosła na niego wzrok; jej ciemne oczy były pełne strachu. Była taka drobna, taka szczupła. Tylko te oczy – zbyt duże w popielatej twarzy. Było w niej coś, co obezwładniało morderczą siłę jego ramienia. Oddychał teraz swobodniej, serce biło wolniej.

Chciał przypomnieć sobie poległych kolegów. Diokles poległ od kamienia, kiedy budował maszynę obłężniczą. Malcenas padł, gdy wbiegł przez wyłom w murze i rzuciło się na niego sześciu wojowników. Kapaneusz spłonął, kiedy Żydzi podłożyli ogień pod swoją świątynię. Albion leży zraniony żydowskim grotem.

Mimo to czuł, że krew w jego żyłach nie jest już taka wrząca, jak jeszcze przed chwilą.

Drżąc na całym ciele, Tercjusz opuścił miecz. Bacząc nadal na każdy ruch dziewczyny, rozejrzał się po izdebce. Czerwona mgła ustąpiła przed oczu. Oto chłopiec, którego zabił. Leżał

w kałuży krwi tuż obok kobiety. Miała twarz spokojną, jakby spała, włosy starannie uczesane, ręce złożone na piersi. W przeciwieństwie do tych, którzy rzucali swych zmarłych do wadi, te dzieci ułożyły swą matkę tak, by wyglądała godnie.

Słyszał opowieść o kobiecie, która zjadła swoje dziecko. To podsyciło w nim nienawiść do Żydów, którą przesiąknął podczas dziesięciu długich lat spędzonych w Judei. Niczego tak nie pragnął, jak wymazać ślad po nich z powierzchni ziemi. Od początku Rzym miał z nimi same kłopoty – byli dumni, nieśkłonni do zgięcia karku przed kimkolwiek poza ich jedynym i prawdziwym, niewidzialnym Bogiem.

Jedyny prawdziwy Bóg! Srogie usta Tercjusza wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. Co za głupcy! Wiara w jednego Boga była nie tylko śmieszna, ale i barbarzyńska. I mimo swych świętych zapewnień, i mimo swego uporu byli narodem barbarzyńców. Wystarczy pomyśleć, co zrobili z własną świątynią.

Ilu Żydów zabił w ciągu ostatnich pięciu miesięcy? Nie dbał o rachubę, kiedy chodził od domu do domu, spragniony krwi, polując na nich jak na zwierzęta. Na bogów, rozkoszował się tym, gdyż każdy zabity Żyd był drobną zapłatą za poległych w tym kraju kolegów.

Dlaczego waha się teraz? Czy poczuł litość dla tej śmierdzącej małej Żydówki? Zabić ją i uwolnić od tej nędzy byłoby czynem miłosiernym. Tak wychudła z głodu, że mógłby zdmuchnąć ją jak świeczkę. Zrobił krok w jej kierunku. Mógłby jednym ciosem zabić obie... i spróbował zmusić się do tego czynu.

Dziewczyna czekała. Widać było, że jest przerażona, a jednak nie błagała o litość, jak czyniło wiele innych. Obie, ona i dziecko, które zasłoniła sobą, trwały bez ruchu i w milczeniu. Patrzyły.

Serce Tercjusza drgnęło, poczuł, że ogarnia go jakaś słabość. Przez chwilę dyszał gwałtownie. Zaklął i wsunął miecz do pochwy.

– Będziecie żyć, ale nie podziękujecie mi za to.

Hadassa знаła grekę. Był to język pospolicie używany przez rzymskich legionistów i rozbrzmiewał w całej Judei. Zaczęła płakać. Chwycił ją za ramię i szarpnął, żeby wstała.

Tercjusz spojrział na małą dziewczynkę leżącą na podłodze. Miała oczy szeroko otwarte i wpatrzone w jakieś odległe miejsce, ku któremu umykał jej umysł. Nie po raz pierwszy widział takie spojrzenie. Niewiele życia ma przed sobą to dziecko.

– Leo – powiedziała Hadassa przestraszona pustym spojrzeniem siostry. Pochyliła się i objęła Leę ramieniem. – Moja siostrzyczko – szepnęła, próbując ją unieść.

Tercjusz wiedział, że mała dziewczynka jest już właściwie martwa i najrozsądniej byłoby zostawić ją tutaj. Kiedy jednak tak patrzył, jak starsza siostra próbuje objąć dziecko i unieść je, poczuł litość. Nawet to nic prawie nieważące dziecko było dla niej za ciężkie.

Tercjusz odsunął ją, podniósł z łatwością małą i łagodnym ruchem przewiesił ją sobie przez ramię jak worek z ziarnem. Chwycił dziewczynę za łokieć i pchnął na ulicę.

Panowała tu teraz cisza, gdyż reszta żołnierzy już się oddaliła. Szedł szybko, chociaż był świadom tego, że starsza dziewczyna z trudem trzyma się na nogach.

W całym mieście unosił się zapach śmierci. Wszędzie leżały nabrzmiałe i rozkładające się od wielu dni trupy ludzi, jednych zabitych przez rzymskich żołnierzy plądrujących miasto, innych zmarłych z głodu. Wyraz przerażenia na twarzy dziewczyny sprawił, że Tercjusz jął zastanawiać się, jak długo ukrywała się w tamtym domu.

– Wasze wielkie święte miasto – powiedział i splunął w kurz.

Ból przeszył ramię Hadassy, kiedy palce legionisty zagłębiły się w jej ciele. Potknęła się o nogi jakiegoś trupa. Na jego twarzy kłębiły się robaki. Wszędzie zwłoki. Poczula, że zaraz zemdleje.

Im dalej szli, tym więcej widzieli rzeczy przejmujących grozą. Rozkładające się ciała były splątane niby zwierzęta w rzeźni. Tak cuchnęło krwią i śmiercią, że Hadassa zakryła sobie usta.

– Gdzie trzymamy niewolników? – krzyknął Tercjusz w stronę żołnierza rozdzielającego zwłoki.

Dwaj legioniści wyciągali poległego towarzysza pomiędzy dwóch Żydów. Inni legioniści dźwigali łup ze splądrowanej

świątyni. Wozy były już załadowane złotymi i srebrnymi kropielnicami, misami, nożykami do przycinania knotów, garnkami i świecznikami. Szufle z brązu i garnki zwałono na stos, tak samo misy, kadzielnice i inne przedmioty używane w świątyni do obrzędów.

Żołnierz podniósł wzrok na Tercjusza, obrzucił brzemieniem w przekleństwo spojrzeniem Hadassę i Leę.

– Tą ulicą i za wielką bramą, ale nie wygląda na to, by te dwie warte były zachodu.

Hadassa spojrzała na nieskazitelny dawniej marmur świątyni, ten sam, który wyglądał z daleka jak okryty śniegiem szczyt górski. Był teraz poczerniały, połupany kamieniami wyrzucanymi przez maszyny oblężnicze. Złoto wytopiło się podczas pożaru. Całe fragmenty muru były zwałone. Świątynia. Jeszcze jedno miejsce wydane śmierci i zniszczeniu.

Hadassa poruszała się niemrawo, mdliło ją, przerażało to, co widziała wokół siebie. Dym szczypał w oczy i drapał w gardło. Kiedy szli wzdłuż muru świątyni, słyszała dochodzący ze środka podnoszący się i opadający krzyk zgrozy. Otworzyła usta i serce biło jej mocniej, w miarę jak zbliżali się do bramy wiodącej na dziedziniec kobiet.

Tercjusz szturchnął ją.

– Jeśli zemdlejesz, zabiję cię tam, gdzie upadniesz, i razem z tobą twoją siostrę.

Na dziedzińcu stłoczono tysiące pozostałych przy życiu; jedni jęczeli w swym opuszczeniu, inni opłakiwali swoich zmarłych. Żołnierz wepchnął ją w bramę i zobaczyła przed sobą rzeszę ludzi okrytych łachmanami. Wypełniali cały dziedziniec. Większość była wycieńczona wskutek głodu, wynędzniała, bezradna.

Tercjusz zdjął dziecko z ramienia. Hadassa chwyciła Leę, próbowała ją podtrzymać. Potem opadła bezsilnie na ziemię, trzymając ciągle siostrę w objęciach. Żołnierz odwrócił się i odszedł.

Tysiące ludzi błąkały się to tu, to tam, szukając krewnych i znajomych. Inni zbijali się w małe grupki i płakali, a niektórzy

rzy, samotni, wpatrywali się w nicość – jak Lea. Było tak gorąco, że Hadassa ledwie mogła oddychać.

Jakiś lewita rozdarł swoją niebiesko-pomarańczową szatę i wykrzykiwał w udręce: „Boże! Mój Boże! Czemuś nas opuścił?”. Kobieta obok niego, ubrana w szarą suknię zakrwawioną i rozdartą na ramieniu, zaczęła zawodzić żałością. Opatulony tkaniną w biało-czarne prążki starzec siedział samotnie, oparty o mur i poruszał bezgłośnie wargami. Hadassa wiedziała, że to członek Sanhedrynu i że jego szata symbolizuje strój pustynny i namioty patriarchów.

W tłumie nie brakowało nazirejczyków o długich, zaplecionych włosach i zelotów ubranych w brudne, wystrzępione spodnie i koszule, na które zakładali krótkie kurtki bez rękawów, z niebieskimi frędzlami. Chociaż nie mieli już noży ani łuków, nadal wyglądali groźnie.

Wybuchła jakaś bójka. Kobiety zaczęły krzyczeć. Dziesiątka rzymskich legionistów przepchnęła się przez tłum, by rozprawić się z przeciwnikami, jak również z paroma innymi osobami, których jedyną winą było to, że znalazły się w pobliżu. Rzymski dowódca stanął na szczycie schodów i zaczął wykrzykiwać w stronę niewolników. Wskazywał mężczyzn w tłumie i żołnierze natychmiast wyciągali wskazanych. Ich przeznaczeniem było umrzeć na krzyżu.

Hadassa zdołała zaciągnąć Leę w bezpieczniejsze miejsce przy murze, koło lewity. Kiedy słońce zaszło i zapadła ciemność, przytuliła mocniej Leę, starając się przekazać siostrze odrobinę swojego ciepła. Ale rano Lea już nie żyła.

Słodka twarz siostry była teraz wolna od strachu i cierpienia. Kąciki warg unosiły się w łagodnym uśmiechu. Hadassa trzymała ją ciągle w ramionach i kołysała. Ból nabrzmiewał i wypełniał ją całą rozpaczą tak głęboką, że nie była nawet w stanie płakać. Kiedy podszedł rzymski żołnierz, ledwie zwróciła na niego uwagę, póki nie spróbował odebrać jej Lei. Mocniej przycisnęła siostrę do piersi.

– Ona nie żyje. Oddaj mi ją.

Hadassa wtuliła twarz w zagłębienie w szyi siostry i jęknęła. Rzymianin napatrzył się na śmierć i nie robiła już na nim

większego wrażenia. Szturchnął Hadassę, wyrwał ciało dziecka z jej objęć i kopnięciem odrzucił ją na bok. Oszołomiona Hadassa czuła, jak ból przenika całe jej ciało, i patrzyła bezsilnie na żołnierza, który niósł ciało Lei w stronę wozu pełnego już zwłok ludzi zmarłych w ciągu nocy. Niedbałym ruchem rzucił małe ciało na stos.

Hadassa podciągnęła nogi, zamknęła oczy i łkała z twarzą wciśniętą w kolana.

Dni biegły jednostajnie. Setki umierały z głodu, jeszcze więcej z rozpacz i utraty wszelkiej nadziei. Niektórych co silniejszych niewolników zabrano do kopania masowych grobów.

Rozeszła się pogłoska, że Tytus dał rozkaz zburzenia nie tylko świątyni, ale całego miasta. Pozostać miały tylko w celach obronnych twierdze Phasaelus, Hippicus i Mariamne oraz fragment zachodnich murów. Nic takiego nie zdarzyło się od czasów, kiedy babiloński król Nabuchodonozor zniszczył świątynię Salomona. Jerozolima, ich ukochana Jerozolima miała być starta z powierzchni ziemi.

Rzymianie przynieśli niewolnikom zboże. Niektórzy Żydzi, nadal nie chcąc zgiąć karku przed rzymskimi rządami, w ostatnim zgubnym geście buntu odmówili przyjęcia pokarmu. W gorszym położeniu byli chorzy i słabi, odmówiono im bowiem pożywienia, gdyż Rzymianie ani myśleli marnować zboże dla tych, którzy zapewne nie wytrzymają marszu do Cezarei. Hadassa należała do tych ostatnich i nie dostała nic do jedzenia.

Pewnego ranka wraz z innymi wyprowadzono ją za mury miasta. Patrzyła ze zgrozą na widok rozciągający się przed jej oczyma. Tysiące Żydów ukrzyżowano naprzeciwko zburzonych murów Jerozolimy. Była to uczta dla padlinożernych ptaków. Ziemia bitewna tak nasiąkła krwią, że była czerwono-brunatna i twarda jak cegła, ale zmiana krajobrazu przerastała wszystko, czego Hadassa mogła się spodziewać. Poza wielkim, straszliwym lasem krzyży nie było ani drzewka, ani krzaczka, ani źdźbła trawy. Przed jej oczyma rozciągała się pustynia, za jej plecami pozostało potężne niegdyś miasto, które teraz zmieniło się w stos gruzów.